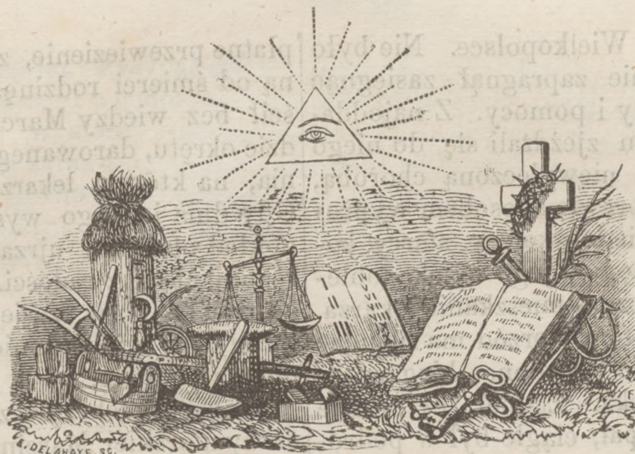
№ 14.

WARSZAWA

6 Kwietnia

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Karol Marcinkowski.— Sejm bocianów. — O garncarstwie i fabrykach fajansu w Polsce. — Rada bociana, poezya.— Różności: Kaplica w Wasilkowie; Pisma peryodyczne w Górnym Szląsku; Składka; Krótki zbiór historyi Polskiéj; Szkoły w okolicach Jadowa; Propinatorzy w Żelechowskim.*

Karol Marcinkowski.

Nie ten, który majątkiem, urodzeniem i wysokiém dostojeństwem słynął za życia pośród możnych panów, a prostemu ludowi nie był nawet znanym z imienia; nie żaden mówię bogacz światowy, który dbał więcej o własny dostatek, a biednemu nigdy w życiu nie otarł łzy niedoli, zasłuży sobie na pośmiertną cześć i niewygasłe w potomności wspomnienie; ale ten, który albo sam wyszedłszy z biednego stanu, potrafił się wznieść czynami zasługi nad swoje urodzenie i dla bliźnich poświęcił całe życie, albo też wreszcie bogacz oddający swój majątek ku wsparciu uciśnionych wdów i sierot, obrońca kraju, przyjaciel cierpiącéj ludzkości. Dotknięty żalem naród stawia takim mężom pomniki, sypie wyniosłe mogiły, a imiona ich przechodzą w pieśni, łzach i powieści z ust do ust, z pokolenia do pokolenia w najoddaleńsze wieki.

Do tych zasłużonych w ojczyźnie naszéj ludzi policzyć się może bezwątpienia Karol Marcinkowski, *doktor cudowny, doktor cudotwórca*, jak go nazwała jedna powiastka ludowa.

Urodził on się w Poznaniu w 1800 roku, w ubogim domku mieszczańskim, na przedmieściu Ś̃go Wojciecha. W pierwszéj zaraz młodości utracił ojca, a biedna matka, obarczona pięciorgiem dziatek, ledwie starczyła swoim zarobkiem na ich utrzymanie. Uczciwa i rozsądna kobieta wiedziała o tém dobrze, że tylko nauka utorować może jéj dzieciom drogę do szczęścia w przyszłości. Oddała więc młodego Karolka do szkoły elementarnéj, a ztamtąd do wyższych szkół gimnazyalnych, gdzie chłopiec swoim talentem i pilnością zwrócił na siebie uwagę nauczycieli, celując przed wszystkimi innymi uczniami. Obdarowany w każdéj klassie nagrodami i pochwałami, w młodym bardzo wieku ukończył szkoły i udał się potém w niemieckie kraje na akademię, gdzie w kilka lat wyuczył się na doktora i już jako dość sławny lekarz powrócił na praktykę do rodzinnego miasta Poznania.

Odtąd właściwie rozpoczyna się publiczny zawód Marcinkowskiego. Sława o jego najlepszém leczeniu chorych, rozbiegła się w krót-

kim czasie po całéj Wielkopolsce. Nie było chorego, któryby nie zapragnął zasięgnąć Marcinkowskiego rady i pomocy. Z najoddaleńszych okolic kraju zjeżdżali się do niego złożeni od lat kilku niewyleczoną chorobą, a on ich cudownym prawie sposobem wyprowadzał z niemocy. Biedni, kalecy, starcy, kobiety, dzieci, cisnęli się pod jego opiekę, oblegając od rana do wieczora mieszkanie lekarza, który nie wiedział w którą wprzód ma się udać stronę, bo go wszędzie ciągniono, błagano ze łzami o pomoc lekarską. Żadnéj też prawie nocy w domu nie dospał, ciągle był w podróży, a dla tym większego pośpiechu jeździł zawsze konno.

Ileż to razy w śnieżnéj zimowéj zawiei zbłąkał się wśród pola, albo zmokły, przeziębiony i głodny, zmuszony był odpocząć w pierwszéj lepszéj chacie wieśniaczéj! Wszędzie go znano i czczono jak świętego. Niejeden byłby mu złotem opłacił powrót swój do zdrowia, ale szlachetny doktor kontentował się tylko od bogatszych małą zapłatą, bo jak sam często się wyrażał: „potrzebował pieniędzy na wsparcie ubogich i zapłacenie za nich lekarstwa.“ Całe też życie swoje został sam biednym i dla biednych najwięcéj poświęcał się na usługi. Nie było w Poznaniu zakątka i poddasza, gdzieby nie zajrzał i nie pocieszył strapionych na duszy i na ciele.

Takie bezustanne czynności, trud, niewygody podróży, bezsenne noce, nadwątliły i tak już z natury słabe zdrowie Marcinkowskiego. Coraz bardziéj i widoczniéj upadał na siłach; mimo to jednak w 30 roku swego życia, wstąpił do służby wojskowéj.

Po wojnie znajdował się Marcinkowski w okolicach Memla czyli Kłajpedy w Prusach Wschodnich, gdzie podówczas cholera najstraszliwsze czyniła spustoszenia. Nie uląkłszy się poprzednio gradu kul w bitwach, udał się Marcinkowski do miasta i tam dzień i noc z nadludzką prawie siłą niósł pomoc lekarską dotkniętym straszną zarazą. Tysiące ofiar wyrwanych z objęcia śmierci zawdzięcza dotąd swoje życie Marcinkowskiemu, którego bohaterską odwagę i poświęcenie się dla bliźnich opisały natenczas różne gazety.

Z Memla udał się Marcinkowski morzem do Szkocyi, dokąd mu pewien kupiec ułatwił bezpłatne przewiezienie, z wdzięczności za ocaloną od śmierci rodzinę. Tenże kupiec umieścił bez wiedzy Marcinkowskiego na pokładzie okrętu, darowanego sobie przez niego konia, na którym lekarz odbył całą kampanię. Gdy dnia jednego wyszedł Marcinkowski na pokład okrętu i ujrzał wierne sobie zwierzę, rozpłakał się z radości. Ale ta radość niedługo trwała, bo w czasie jednéj burzliwéj nocy, gwałtowny wicher zmiótł stajenkę wraz z koniem z pokładu.

Po wielu niebezpieczeństwach i trudach podróży morskiéj, Marcinkowski osłabiony i stargany na zdrowiu przybył do Szkocyi, gdzie u krewnych owego szlachetnego kupca z Memla, po niejakim czasie odzyskał utracone siły. Ztamtąd, nauczywszy się języka angielskiego, rozpoczął swoje naukowo-lekarskie wycieczki po Anglii, zwiedzając wszystkie sławniejsze akademie i szpitale.

Przybywszy do Paryża, oddawał się tam z całym zapałem naukom i praktyce lekarskiéj. Zapoznał się z najpierwszymi doktorami francuzkimi i coraz większéj nabywał wziętości i sławy pomiędzy cudzoziemcami. Akademia paryzka obdarowała Marcinkowskiego złotym medalem, za udzielanie rad i sposobów leczenia cholery lekarzom francuzkim. Dochody jakie mu wpływały z obszernéj praktyki, dzielił Marcinkowski pomiędzy swoich ziomków i tułaczów, na obcéj zamieszkałych ziemi.

Po dwóch latach bytności w Paryżu przybył Marcinkowski z powrotem do kraju, przesiedziawszy pięć miesięcy więzienia w Berlinie. Zaledwie tylko ukazał się w murach ojczystego miasta Poznania, tłumy ludu z okrzykami radości śpieszyły powitać opiekuna uciśnionych wdów i sierot, a wieść o powrocie jego szybko rozbiegła się po całém wielkiém księstwie Poznańskiém.

Przywrócony rodzinnemu miastu, rozpoczął Marcinkowski nanowo obowiązki swego powołania; ale niedługo cieszył się wolnością, bo znowu wtrącony został do więzienia w Świdnicy na Szląsku.

Tymczasem w Poznaniu wybuchła straszna cholera. Przestrach, płacz ludu i prośby możnych skłoniły rząd do uwolnienia Marcinkowskiego, jako najlepszego znawcę téj choroby. Powrócił on do Poznania, a stroskany lud

niezliczonemi tłumami wysypał się po drugi raz na jego przyjęcie. I o cudo! zaledwie Marcinkowski stanął w staréj stolicy Piastów, cholera zaczęła się zaraz zmniejszać i wkrótce jego zabiegami i gorliwością całkiem została przytłumioną. Słusznie też lud nazywał Marcinkowskiego *doktorem cudownym*.

Lecz nietylko w sztuce lekarskiéj wsławił się ów nieporównany człowiek. Daleko ważniejsze czyny świadczą o jego gorliwości obywatelskiéj i gorącéj miłości ojczyzny. Był on jedynym w Wielkopolsce mężem, którego głosu i rady wszyscy słuchali. To też co tylko zaprojektował na jakiém zebraniu, natychmiast to przyjmowano i wykonywano, choćby z największemi połączone było ofiarami. Jemu zawdzięcza Poznań swoje upiększenie; za jego wpływem Polacy wystawili największy i najpiękniejszy gmach w Poznaniu, nazwany *Bazarem*; on założył towarzystwo dobroczynności ku wsparciu ubogich; on wreszcie rozszerzył i funduszami zaopatrzył szpital Sióstr Miłosierdzia. Ale niczém jeszcze były te wszystkie dzieła w porównaniu z założoném przez niego *Towarzystwem naukowej pomocy*, do którego podtrzymania i udziału w nim, pociągnął cały naród.

Marcinkowski wyszedłszy sam z biednego mieszczańskiego stanu, wiedział o tém dobrze, że niejeden ojciec chętnieby oddał syna do szkół, gdyby posiadał na to fundusze; że w niejednéj chacie wieśniaczéj, do których bardzo często zaglądał w swoich podróżach, znajduje się ukryty talent, który odszukać i rozwinąć potrzeba. Przez założenie więc Towarzystwa naukowéj pomocy, zbliżył i pobratał z sobą Marcinkowski wszystkie stany. Ustanowione komitety po powiatach miały na celu zbieranie pieniężnych składek od członków wpisanych do Towarzystwa, wyszukiwanie i przedstawienie Dyrekcyi głównéj w Poznaniu stypendystów, zgoła ułatwianie braterskiego porozumienia i pomocy wzajemnéj pomiędzy wszystkiemi klassami społeczeństwa.

Naraz też tysiące ubogiéj młodzieży znalazło się na koszcie Towarzystwa w wyższych szkołach gimnazyalnych, uniwersytetach, seminarjach nauczycielskich, w warsztatach rzemieślniczych i zakładach gospodarskich, a rok rocznie powiększały się zastępy ukształconych ludzi wszystkich stanów. Towarzystwo to trwa do dziś dnia i nie ma wioski lub miasteczka, gdzieby po kilkunastu młodzieńców nie wykształciło się kosztem jego bądź to na księży, doktorów, nauczycieli, sędziów, bądź też na dobrych rzemieślników, praktycznych rolników i gorliwych obywateli kraju. Pobratana po koleżeńsku w szkołach młodzież wszystkich stanów, zatrzymała te stosunki przyjaźni i miłości i w dalszym życia zawodzie, dążąc wspólnemi siłami do jednego celu. Piękny to zaiste pomnik Marcinkowskiego! Jemu to należy się cześć i sława za wzmocnienie polskiego żywiołu w księstwie Poznańskiem, w obec cisnącéj się niemczyzny usiłującéj pochłonąć wszystko co polskie.

Tak gorliwa i przykładna praca Marcinkowskiego we wszyskich kierunkach, jako lekarza i obywatela, a zarazem prezesa wszystkich tych Towarzystw, zrujnowała mu do reszty zdrowie. W kwiecie wieku, bo w 46 roku życia, zaskoczyła śmierć Marcinkowskiego. Umarł na suchoty płucowe, a zgon jego napełnił bólem i żalem serca wszystkich mieszkańców kraju. Kto tylko żył, śpieszył na pogrzeb owego przyjaciela ludzkości, obrońcy ubogich i uciśnionych, prawdziwego syna ojczyzny i najzasłużeńszego członka społeczności.

Jeden z jego współczesnych kolegów, tak ów pogrzeb opisuje:

„Dnia 11 Listopada 1846 r. nad wieczorem sprowadzono z Dąbrówki do Poznania zwłoki Marcinkowskiego, towarzyszone przez okoliczne duchowieństwo, szlachtę i inne stany. Od wsi do wsi, jako i z miasta Obornik, przez które postępował orszak, wychodzili mieszkańcy i duchowni odprowadzając ciało przy pochodniach i śpiewach, przy odgłosie dzwonów od granicy do granicy. Pół mili od Poznania zgromadziły się wszystkie cechy z chorągwiami kirem żałoby okrytemi i odebrały w towarzystwie mnóstwa mieszkańców miasta i okolicy zwłoki, które niesione przez włościan stanęły o godzinie 4éj na przedmieściu Śgo Wojciecha. Tutaj oczekiwał od godziny 3éj ksiądz Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański z prałatami kapituły, z duchowieństwem tutejszém i okolicznem. Wyżsi urzędnicy wszystkich dykasteryi, wyżsi wojskowi, magistrat, rada miejska, uczniowie wspierani przez Towarzystwo naukowéj pomocy z wszystkimi nauczycielami, którym około 15,000 lu-

dzi wszystkich stanów i wyznania towarzyło, przyjęli w środek skromną trumnę dębową ozdobioną wieńcem z kwiatów, którą naprzemian mieszczanie, szlachta i włościanie nieśli przy pochodniach i tysiącu świec przez ulicę Wroniecką, Rynek, ulicę Nową, Wilhelmowską, przez Śty Marcin na cmentarz Śto-Marciński. W pochodzie przez miasto pozamykano kramy, głęboka cichość po ulicach przepełnionych, odgłos dzwonów i śpiewy licznego duchowieństwa dawały znać o akcie smutku i ogólnéj żałoby. Prosty grób okrywa drogie zwłoki Marcinkowskiego."

Sejm bocianów.

—

W pewnej wiosce Wielko-Polski, chłopcy chcieli wybrać z gniazda bocianiego jaja. Jakkolwiek lekkomyślni, przecież zastanowili się nad skutkami swego postępku i zmiarkowali, że po spełnieniu go, bocian opuści niewdzięczną okolicę. Tego sobie nie życzyli. Aby jednak dogodzić swawoli, postanowili oszukać bociana. Wzięli więc jaja gęsie, wdrapali się na drzewo do gniazda i włożyli w nie przyniesione z sobą jaja, a zabrali bocianie.

Bociany nie poznały się na téj zamianie. Dopiero kiedy czas wylęgania się nadszedł, samica najpierw ujrzawszy gąsiątka, podniosła dziób w niebo i poczęła żałośnie klekotać. Na głos jej przybył samiec. Stał długo na gniaździe i w milczeniu przypatrywał się nowonarodzonym. Skoro widać doskonale przekonał się, że jest ojcem obcego mu płodu, wzbił się wysoko w powietrze, a krążąc smętnie nad gniazdem, straszliwie a donośnie klekotał, jakby zwoływał braci.

Tak było rzeczywiście. Zebrała się chmara bocianów w około niego, krążyła z nim razem w powietrzu, klekotając przeraźliwie, głos jego jednak słyszanym był z pomiędzy wszystkich. Długą chwilę trwały te ich powietrzne narady, nareszcie całą chmarą uderzyli na gniazdo, wyrzucili zeń gąsięta, samicę zadziobali i z krzykiem opuścili miejsce okropnej egzekucyi, zabrawszy z sobą osieroconego samca.

Jak ciężka odpowiedzialność nawet u ptaków spada na matki za dzieci *wyrodki*, dowodem jest ten dekret wydany przez bocianów.

O garncarstwie i fabrykach fajansu w Polsce.

—

Sztuka lepienia z gliny naczyń użytecznych w codziennem życiu, jest wynalazkiem niezmiernie dawnym. Odznacza się ona między rzemiosłami wielką prostotą: nieco gliny wilgotnéj i zręczne ręce robotnika, jak przed wiekami tak i dziś są głównym materyałem i jedyném niemal narzędziem w garncarstwie. Wynalezienie i użycie drewnianéj podstawki, obracanéj za pomocą bardzo prostego przyrządu nogą robotnika, jest jedyném ulepszeniem, uczynioném w garncarstwie przez przeciąg kilkunasto wiekowego czasu. Piece do wypalania naczyń ulepionych, znane były już niezmiernie dawno i dotąd w ich budowie nie trzeba było żadnéj prawie czynić zmiany. Zręczność w palcach jest najwyższym przymiotem dobrego garncarza; z kawałka gliny, trochę wilgotnéj, położonego na drewnianym krążku, służącym za warsztat, robotnik za pomocą palców i dłoni lepi naczynia jakiego tylko chce kształtu. Patrząc na robotę garncarza, widzimy dowodnie, jak wielkiém dobrem obdarzył nas Najwyższy, dając człowiekowi tak zręczną rękę. Każdy z moich czytelników przypatrzyć się zapewne może robocie garncarza, bo niema miasteczka, gdzieby choć jednego rzemieślnika tego fachu nie było, a znajdują się także i po wsiach, gdzie tylko ukopać można dobrej gliny na wyrób garnków, rynek, misek i t. p. sprzętów gospodarstwa kobiecego. Są jednak w kraju naszym takie miasteczka, których ludność niemal wyłącznie zajmuję się garncarstwem. Między innemi jednak najgłośniejszą u nas mają sławę garncarze z Czmielowa, Denkowa, Tarłowa, Iłży, a dawniej z Łagowa, Lubartowa, Sławkowa, Koła i niektórych jeszcze innych miasteczek. Mieszczanie tarłowscy (1), które to miasteczko bardzo dziś ubogie, nie od dziś słynęli ze

(1) Tarłow dziś ubogie miasteczko leży w powiecie Sandomierskim, gubernii Radomskiéj, w bliskości dwóch rzek: Kamionny i Wisły.

swojéj sztuki i doskonałości wyrobów, na które używają przedniéj ogniotrwałéj i fajansowéj, w tutejszych okolicach kopanéj glinki.

Już za Jana Kazimierza, króla polskiego, za panowania którego Szwedzi po raz pierwszy splądrowali kraj nasz, znaczny handel wyrobami garncarskiemi prowadzili mieszczanie tarłowscy. Król ten przywilejem swoim w 1664 r. wydanym, dozwolił mieszczanom Tarłowa wyroby garncarskie spławiać Wisłą do Gdańska i sprzedawać je we wszystkich miastach Pruskich, należących wówczas do rzeczypospolitéj Polskiéj. Podobnyż handel wyrobami garncarskiemi, z niemałą dla siebie i kraju korzyścią, prowadzili mieszczanie miasta Czmielowa, także w powiecie Opatowskim, nad rzeczką Kamionną, w prześlicznéj wzgórkowatéj okolicy położonego. Tutejsi garncarze widząc, jak dobrze idzie tarłowskim, wyjednali od Augusta IIIgo Sasa, króla Polskiego, pozwolenie wysyłania swych wyrobów do Gdańska, Torunia, Malborga, Elbląga, gdzie osiedli kupcy cudzoziemcy fajanse nasze kupowali i do swych krajów prace rąk naszych wysyłali. Nieopodal od Czmielowa znajduje się miasteczko Denków, dziś także garncarzami zasiedlone. Łagów znajdujący się pod Łysą Górą, także w powiecie Opatowskim, słynął od bardzo dawna garnkami, dziś jednak bardzo tamtejsi rzemieślnicy podupadli i w małéj znajdują się ilości. Liczne wojny i nieszczęścia, jakie dotknęły kraj nasz od Szwedów i innych nieprzyjaciół, przyczyniły się bardzo do upadku przemysłu garncarskiego w powyżéj wymienionych miasteczkach. Zniszczeni i zubożeni garncarze, już nie mogli wyrabiać ani tak dużo ani tak pięknych przedmiotów i naczyń, aby je wysyłać do miast Pruskich, do których zaczęto sprowadzać naczynia z Anglii i innych krajów Europy, mianowicie zaś z Saksonii i Francyi. Powoli ubywało zdolnych garncarzy w Tarłowie, Czmielowie i Łagowie, a ci którzy pozostali, nieumieli już robić tak pięknych naczyń, nie potrafili ich tak dobrze wypalać; ograniczyli się więc wyrabianiem najprostszych kształtów i formy naczyń, które rozwożą po okolicznych jarmarkach i sprzedają włościanom i mieszczanom ubogim za tanie pieniądze.

Tymczasem w końcu zeszłego stulecia i w początku bieżącego upadać zaczął w klasach ludności zamożniejszéj, w szlachcie i bogatém mieszczaństwie gust, do dawnych naczyń cynowych, do mis srebrnych, a natomiast wchodziły w coraz większą modę naczynia z fajansu i porcelany. Zaczęto używać powszechnie talerzy fajansowych, waz porcelanowych, imbryków, filiżanek i t. p. naczyń, koniecznych w codziennem życiu; przemawiała za tém ich piękna forma oraz taniość. Gdy więc zewsząd takich fajansów i porcelany żądać zaczęto, a kupcy nasi dostać ich od krajowych garncarzy nie mogli, sprowadzali je więc z zagranicy w znacznéj bardzo ilości. Tym sposobem posiadając w kraju u siebie ogromne pokłady wybornéj glinki fajansowéj, z któréj wszelkie naczynia można było robić, wydawaliśmy niemało pieniędzy za granicę na farfury i porcelanę, a tak co od nas dawniéj cudzoziemcy kupowali, to myśmy zaczęli od nich sprowadzać.

Widząc taki obrót rzeczy, mądry i zasłużony krajowi ówczesny minister górnictwa ksiądz Stanisław Staszyc, postanowił założyć w kraju fabrykę fajansowych naczyń, abyśmy już ich więcéj z zagranicy nie potrzebowali sprowadzać, płacąc za nie jeszcze dość drogo. W tym celu na miejsce założenia fabryki, wybrał on miasteczko Iłżę, w powiecie Opatowskim gubernii Radomskiéj położone, a w bliskości doskonałą glinkę na wyroby fajansowe posiadające. Dostatek też lasów, na okół Iłży szeroką przestrzeń zalegających, dawał pewność, że fabryce nie zbraknie na drzewie, które jest nieodzownie potrzebném do wypalania naczyń fajansowych. Jak powiedzieliśmy, oddawna już z kraju rozproszyli się zdolni garncarze, którzyby nietylko proste garnki lepić umieli, ale i wszelkie naczynia pięknych kształtów wykonać zręcznemi rękami, a także znali się na powlekaniu glazurą i wypalaniu naczyń. Gdy więc w kraju naszym takich robotników zdolnych nie było, postanowił mądry ksiądz Stanisław Staszyc sprowadzić garncarzy z zagranicy, a mianowicie z Anglii. W tém ostatniém państwie leży miasteczko Sunderland, bardzo zamożne i słynące z garncarzy, którzy najpiękniejsze naczynia umieją wyrabiać, glinkę na nie przygotowywać i przyprawiać, oraz umiejętnie wypalać. Do tego miasteczka posłał ksiądz Staszyc jednego człowieka, aby namówił kilku tamtejszych garn-

carzy do przeniesienia się w nasz kraj, gdzie doznają dobrego przyjęcia i pomocy od rządu polskiego. Trudno to było zrobić z razu, bo Anglicy zazdrośni, aby ich kto w fajansach nie ubiegł, zakazali garncarzom wynosić się do innych krajów; przecież jeden z tych garncarzy, niejaki pan Lewin, gdy mu obiecano, że w Polsce do założenia fabryki dopomogą, zgodził się tajemnie opuścić swoje miasto i z rodziną przybyć do Polski.

Jakoż w 1824 r. rzeczywiście tajemnie do nas przybył i zjechał do Iłży, gdzie mu rząd na zapomogę murowany spichrz dla urządzenia fabryki oddał i wsparł go jeszcze dobrą pożyczką. Ow przemyślny fabrykant, budynek w Iłży zaraz na fabrykę fajansu przerobił, piece i wszystko co potrzeba urządził, tak, że już w następnym roku mógł naczynia wyrabiać, a wkrótce fabrykę rozszerzył tyle, że w niej przeszło pięćdziesięciu ludzi robi, a fabryka corocznie więcéj jak za sześćdziesiąt tysięcy złp. fajansu sprzedaje. Zabiegliwy ten fabrykant do imienia swego przydał nazwę rodzinnego miasta i powszechnie zowią go panem Lewin Sunderland; edukował on pięknie swoje dzieci, a syn jego jeden, p. Filip Sunderland, uczeń byłéj szkoły politechnicznéj w Warszawie, ojcowską fabryką w Iłży zarządza, a drugi podobną fabrykę garnków ogniotrwałych w Miedzianéj Górze, w powiecie Kieleckim założył i prowadzi pomyślnie.

Ponieważ fajans z fabryki Iłżeckiej nieróżnił się niczém od tego, który sprowadzono z zagranicy, kupowali go chętnie ludzie nietylko w Warszawie, ale i po całym kraju; widząc dobry odbyt, książe Lubecki założył późniéj fabrykę u siebie w Czmielowie, a raczéj pod tem miasteczkiem w Brzostowie. Glinka czmielowska jest daleko ładniejsza od iłżeckiéj, więc też z niej mnóstwo pięknych wyrobów fajansowych ulepić można. W Czmielowie fabryka mieści się w kilku budynkach: w jednym przyprawiają glinę, ta bowiem co prosto z gruntu, nie jest jeszcze tak zdatną na wyroby, a mianowicie na delikatne naczynia.

Glina wykopana musi się najprzód przeleżeć na mrozie przez zimę, aby skruszała; późniéj glinę taką, zwiezioną do fabryki, wymywa się wodą od piasku, co robi się w obszernych kadziach. Tym sposobem otrzymuje się bardzo delikatny muł gliniany, do którego dodaje się osobny gatunek w bliskości kopanego piasku, także wymytego i bardzo białego. Po zmieszaniu zagniata się wszystko na ciasto i dopiero z takiego ciasta garncarze lepią rozmaite naczynia, lub też wyciskają w formach różne zabawki, lichtarze, pieski, krakowiaków i inne cacka piękne lub użyteczne. Jak ulepione naczynia przeschną, wtedy ustawiają się w wielkim piecu i wypalają powolnym ogniem. Zwykle wszystkie naczynia powlekają się piękną glazurą białą, a cacka malują w osobnym budynku przez malarza. Tam także na talerzach, półmiskach, filiżankach malują a raczéj drukują piękne widoki, oraz inne wyobrażenia.

Wielu ludzi bogatszych nie zadawalnia się fajansem, który jest zawsze żółtszego koloru, mniej trwały i piękny, ale żądają porcelany. Aby porcelanę wyrabiać, potrzeba jest prócz glinki jeszcze szczególnego rodzaju materyału, który się nazywa kwarc. Otóż tego kwarcu, takiego jak potrzeba, w kraju naszym nie ma, fabryka więc czmielowska chcąca wyrabiać porcelanę, sprowadza kwarc z za granicy, ciasto porcelanowe fabrykuje i naczynia z niego lepi, wypala i z wielkim pożytkiem swoim sprzedaje. Wyrabiają się tu także naczynia kamienne, bardzo dobre do gotowania potraw, bo trwalsze od zwykłych garnków na ogień i nie tak łatwe do stłuczenia. Podobne garnki, tygle, imbryki, wyrabiają także w Denkowie pp. Kotkowscy, oraz w Iłży od 1853 r. pod nazwą naczyń budziszyńskich (bunclauskich), a to nazwisko ztąd pochodzi, że naczynia takie tym sposobem lepić zaczęto najprzód w mieście luzackiém Budziszyn (Bunclau). Fabryki podobnych garnków kamiennych coraz więcéj się upowszechniają, jak np. w Żarkach w powiecie Olkuskim, doskonałe kamienne garnki z wyborną glazurą, w Wieluniu w powiecie Wieluńskim. W mieście Kole, w powiecie Konińskim, istnieje od bardzo dawna fabryka fajansu i garnków ogniotrwałych, a teraz niedawno we wsi Gołębiach pod Koninem, znaleziono pokłady glinki bardzo dobréj, właściciel więc zakłada fabrykę fajansu i naczyń kamiennych. Moglibyśmy wyliczyć wiele jeszcze podobnego rodzaju fabryk w kraju istniejących, lub które będą wkrótce założone, wszyscy już bowiem dziś zamiast lichych skorup ze zwykłej gliny, wolą kupo-

wać garnki grube, ogniotrwałe, które jakkolwiek drożéj kosztują od pospolitych, to jednak trzy razy dłużéj trwają, są lepsze w użyciu i przy pięknéj glazurze daleko są zdrowsze do gotowania. Baczyć tylko potrzeba, aby wszyscy kupowali naczynia z fabryk krajowych, raz, że tym sposobem rodakom swoim dają zarobek, a drugi raz, że te naczynia są trwalsze od zagranicznych, sprowadzanych przez niektóre składy warszawskie. Sam na własne oczy widziałem, jak u takich garnków zagranicznych przy pierwszém gotowaniu dno odpadło, kiedy naczynia podobne krajowego wyrobu, służyły po lat kilka z wielkiém zadowoleniem gospodyń.

Rada bociana.

Na niskiej chacie komin garbaty,
Po nad kominem dąb rosochaty,
Na starym dębie koło drewniane,
Na kole leży gniazdo chruściane,
A na niém stoi: gość pożądany
We dnie i w nocy wyczekiwany,
Co miesiąc więcéj, co dnia goręcéj,
Przez coraz dłuższych dziewięć miesięcy,
Pociecha matek, dziewcząt zgryzota,
Piastun najpierwszy, wioski klekota.

I stoi sobie jak mu się godzi,
Na jednéj nodze wioski dobrodziej,
A drugą nogą w górę wzniesioną,
Drapie uważnie brodę czerwoną,
Dziób wsparł o piersi i patrzy na dół,
Z rozwagą wszelką na ziemski padół,
To cierpliw słucha, to się unosi,
Jak go dziewczyna z pod dęba prosi:
Stary klekoto do cię przychodzę,
Co stoisz sobie na jednéj nodze,
Gość i dobrodziéj wiejskiéj czeladzi,
Patrzysz na chaty, gdzieby ci radzi...
Pod którém oknem w głos zaklekotać,
Gdy ci się w dziobie pocznie szamotać.
Po nocach nie śpię, płaczę w kościele,
Za trzy niedziele moje wesele...
A tu małegom nigdy nie miała,
To mnie zakrzyczy piszczek krzykała,
A jakże mi się rozmaże czasem,
To nie dam rady z płaksą-bekasem.
Nie przynoś że mi proszę cię o to,
Takiego skrzeka stary klekoto:
Ale mi przynieś czerstwe i hoże,
Takie już złote jabłuszko boże,
Coby płakało, wesołą łezką,
Jutrzenka moja, rosę niebieską,
Coby kwiliło duszą pokorną,
Swierszczyk serdeczny, piosnkę wieczorną,
Coby się pięło do mojej szyi,
Jak na obrazku Panny Maryi,
Złoty aniołek dźwiga kochane
Z pod siwéj płachty rączki różane.
Pszeniczne ziarno tobie przynoszę,
Niech mi się stanie, o co cię proszę.

Uniosł się Wosio na jednéj nodze,
I w głos klekocząc ofuknął srodze:
Głupia dziewczyno! Cóż mi po ziarnie?
Toż mię częstujesz hojnie a marnie!..
A takaś duża i nie wiesz o tém,
Że klekot żyje samym kłopotem...
Od dnia piątego, kołuje, lata,
Z troską do nieba o dzieci świata,
Po wtórej za się Egipskiéj pladze,
Stąpa po świecie w groźnej powadze.
Z dziobem powisłym myśli ważnemi,
Trapiąc się wielce plugastwem ziemi...
A i mateczka z ciebież to płocha,
Takie ladaco, taka macocha!
Wyrosłaś zdrowa, jak w chmielu tyka,
A ten ci piszczy, a ten ci bryka,
Z tym nie dasz rady, ten cię zaskrzeczy,
A nie wstyd tobie bredzić od rzeczy!
I nieroztropna... ubrdałaś może,
Że ja aniołków zbieram po dworze,
Że bylem klechnął, gdy prosisz ładnie,
To ci wnet złoty w ramiona spadnie;
A nie wiesz o tém, co wie wszelaki,
Że go nie kupić za grosz nijaki...
Jedno tem jednem matczynem złotem:
Długim, serdecznym, świętym kłopotem.

Przez trzy miesiące, chodź tu przed świtem,
Patrzeć jak płacze jutrznia przed żytem.
Otrząsaj na dłoń kłosek po kłosie,
Przemywaj oczy w porannéj rosie,
To i twój płaksa do łez ochoczy,
Gdy mu się w wilgne zapatrzysz oczy,
Dwie jasne jutrznie będzie miał w głowie,
I będzie płakał rosą na zdrowie.

Przez trzy miesiące, z świerszczykiem wcześnie,
Śpiewaj o zmroku pobożne pieśnie:

„Dobranoc Jezu, Serce rozpięte,“
I jeszcze inne, a wszystkie święte,
To i twój piszczek, wieczna muzyka,
Będzie miał w sobie głosik świerszczyka,
I będzie kwilił duszą pokorną,
Dobra noc Jezu, piosnkę wieczorną.

Przez trzy miesiące, o każdéj porze,
Kiedy ci tęskno, klękaj w pokorze,
I patrzaj w obraz Panny Maryi,
Jak tam do świętéj schylonéj szyi,
Złoty aniołek dźwiga kochane,
Z pod siwéj płachty rączki różane,
To gdy zaklecham w stósownéj porze,
Przed twojém łożem w ciemnéj komorze,
Wielkie zdziwione otworzysz oczy,
Z mego cię dzioba światłość otoczy,
Nagi aniołek bijąc o nóżki,
Wyciągnie do cię drobne paluszki.

Różności.

Miasto Wasilków w gubernii Kijowskiej, zamieszkałe przez znaczną ludność katolickiego wyznania, nie ma dotąd ani kościoła, ani kaplicy katolickiéj. Uzyskawszy pozwolenie władzy, zamierzają mieszczanie wybudować kaplicę ze składek dobrowolnych ludzi dbałych o dobro wiary świętéj. Zebrano kilkaset rubli, potrzeba zaś jest kilka tysięcy.

— Szląsk niegdyś należał do Polski, dzisiaj należy do Prus i Austryi. W części Szląska zwanéj Górnym i Średnim pod obydwoma panowaniami, jest przeszło 1,000,000 ludności mówiącéj po polsku i żyjącéj według polskiego obyczaju. Lud to piśmienny i przywiązany, do ojczystego języka. Wielu poczciwych nauczycieli i księży, troskliwie rozwijają tam oświatę narodową i wydają różne pożyteczne książki. W Cieszynie, który położony jest w Szląsku austryackim, wychodzi od lat wielu bardzo pożyteczne pismo, p t. Gwiazdka Cieszyńska, pod redakcyą Stelmacha, którą i u nas na pocztach prenumerować można. W Górnym Szląsku pruskim, wychodził niegdyś w Bytomiu Dziennik Górnoszląski, a w Opolu Gazeta Wiejska. Gdy te dwa pisma przestały wychodzić, od lat kilkunastu Górnoszlązacy Pruscy nie mieli swojego pisma. Dopiero od nowego roku zaczęła wychodzić w Wrocławiu Gazeta Rolnicza Polska.

— Pani N. N. w Redakcyi Czytelni Niedzielnéj, złożyła na ochronkę w Irkucku rs. 1.

— Nie wielką liczbę dla ludu napisanych książek, powiększył „Krótki zbiór historyi Polskiej“ wydany nakładem redakcyi Roczników Gospodarstwa Krajowego. Dobra to książeczka i bardzo tania, kosztuje bowiem 50 groszy, chociaż jest 10 arkuszy druku. Uprzyjemni ona nie jedną godzinę wieczornego po wsiach czytania a znaleść się powinna w każdéj szkółce i ochronce.

— Miasteczko Jadów, w powiecie Stanisławowskim, posiada kościół parafialny, którego proboszczem od lat blisko dwudziestu, jest ksiądz Andrzéj Trętowski. Lud składający tę parafię, odznacza się moralnością i trzeźwością, licznie w święto i niedziele gromadzi się do kościoła, z pilnością i uwagą słucha nauk. Ksiądz proboszcz często z ambony zachęcał parafian, aby po wsiach zakładali szkółki i posyłali do nich swe dzieci. Usiłowania jego nie przeszły bez skutku, w siedmiu bowiem wsiach do parafii należących, a mianowicie: w Myszadłach, Wójtach, Starowoli, Zawiszynie, Sitnem, Józefowie i Jadwicinie, prócz szkoły miejskiéj w samym Jadowie, są urządzone szkółki, do których wieśniacy chętnie posyłają swe dzieci, ciesząc się z postępków, jakie robią w czytaniu i pisaniu. Sam proboszcz dostarcza im książek do nauk elementarnych stosownych, z własnych funduszów prenumeruje Kmiotka i Czytelnią Niedzielną, odwiedza szkółki i zachęca wciąż włościan, do wytrwania na drodze, która ich do porzucenia wielu błędów i do lepszego bytu doprowadzi.
(Gaz. Warsz.)

— Piszą do Gazety Polskiej z Żelechowskiego: „Dzięki poczciwym chęciom kilku obywateli, w całym okręgu od przyszłego Śgo Jana nie będzie ani jednego propinatora.“ Wpłynie to postanowienie obywateli, zyski pieniężne poświęcających dla umoralnienia włościan, na dobry byt tychże włościan, obudzi ich ufność do dziedziców i przekona, że nikt od nich lepiej im nie życzy. Do nauki garną się pilnie w Żelechowskim, a p. Chromiński chirurg we wsi Rykach, bez żadnego wynagrodzenia, uczy przeszło 60 dzieci.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80—półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 6 Kwietnia 1862 roku.